

PROLOG

Wrzesień

Dziś śpij spokojnie, jutro cię zabiję.

Te słowa mogłaby śmiało wypowiedzieć na głos, lecz ona zostawiła je dla siebie. Nie chciała, żeby osoba, do której były skierowane, potraktowała je jak żart. Bo to nie był żart.

Poprawiła śnieżnobiałą kołdrę, tak by jej róg nie opadał na podłogę. Nie dbała o czystość czy porządek, chodziło o symetrię. Lubiła ją. Była spokojniejsza, gdy wszystko znajdowało się na swoim miejscu, gdy pościel była schludnie ułożona na łóżku, nawet jeśli ktoś na nim leżał. Zwłaszcza wtedy. Łatwiej było jej zebrać myśli, wyrównać oddech. Oparła się nagim ciałem o zimną szybę. Za oknem paliły się niskie latarnie, przechodzące tędy koty rzucały rozedrgane cienie. Czuła, że jej ciało się rozluźnia, a płuca z każdym oddechem coraz

bardziej się rozszerzają. Ulga. Wreszcie pozbyła się tego niewyobrażalnego ciężaru. Wreszcie dowiedziała się, kto za tym stoi. I co powinna z tym zrobić.

Elektroniczny zegar stojący na szafce nocnej wydał ledwo słyszalny dźwięk. Północ. Właśnie nadeszło jutro.

ROZDZIAŁ I

Sierpień, dzień wypadku

Laura siedziała na komisariacie w pokoju przesłuchań i paliła papierosa. Nie mogli jej tego zabronić, nie w takiej sytuacji. Funkcjonariusz Karpiński wdrapał się na krzesło, potem na biurko i zasłonił rękawem czujnik dymu. Stał tak, dopóki kobieta nie zgasła papierosa w filiżance z resztką zimnej kawy. Jego kawy. Przystojny, na pierwszy rzut oka wyglądał jak gwiazda filmowa. Z taką twarzą mógłby zrobić karierę nie tylko w polskim show biznesie.

– Kiedy to się stało? – spytała Laura. Jej głos drżał, co ją samą zdziwiło. Zawsze była taka pewna siebie i stanowcza.

– Godzinę temu – padła odpowiedź.

– Gdzie on jest? – Wciąż wpatrywała się w kadr zatrzymany na ekranie policyjnego komputera.

Tym razem odpowiedź nie padła.

Laura wyjęła kolejnego papierosa, ignorując minę komendanta.

– Może przejdziemy się przewietrzyć? – zaproponował.

– Tak, to dobry pomysł, ale ja idę, a pan zostaje, panie Karpiński – rzekła i wyszła z pokoju, trzasnąwszy drzwiami.

Tuż za nimi wyrzuciła papierosa do kosza i sięgnęła do torebki po telefon. Ręce jej drżały, gdy próbowała wcisnąć odpowiedni skrót na ekranie.

– Mów. – Kobięcy głos wybrzmiał po trzecim sygnale.

– Zbyszek miał wypadek – powiedziała Laura, szybko wychodząc z budynku komendy. Dopiero tam pozwoliła sobie na szloch.

Przycisnęła mocniej telefon do ucha, ale po drugiej stronie zapanowała cisza.

– Nie żyje – wydukała. Oddychała głęboko, próbując się jakoś pozbierać, choć nikomu nie było to teraz potrzebne. O wiele łatwiej było wpaść w czarną rozpacz, załamać się, pogрузić w smutku, obudować się traumą. A może właśnie tak powinna zrobić? Przecież ludzie tak robią w takich chwilach.

– Nie żyje – powtórzył głos zupełnie spokojnie. – Powiem Markowi.

Laura spojrziała na wyświetlacz, połączenie wciąż trwało. Przyłożyła ponownie telefon do ucha i usiadła na krawężniku.

Po chwili rzuciła komórkę na chodnik i spojrziała przed siebie. Bolało ją w krzyżu. Łupało już od dłuższego czasu. Zbyszek się śmiał, że nie potrafi nic zdziałać na NFZ, więc namawiał ją do skorzystania z pomocy prywatnej kliniki. Bo przecież odkąd on korzysta, to jest okazem zdrowia. „A mięśnie, popatrz na te mięśnie” – powtarzał, prężąc się jak osiłek na siłowni. Bardzo jej się wtedy podobał, zwłaszcza z tą siwizną czupryny i zarostu. A jemu podobało się podobać się jej. Kiedy tak wypręzał pierś i pokazywał bicepsy? Nie dalej jak wczoraj rano, gdy ściągnął z niej ręcznik, którym owinęła się, wychodząc spod prysznic. Spędzili wspólnie weekend, pierwszy od niepamiętnych czasów. I ostatni.

– Dlaczego żeś się schlał, tłumoku? – wymamrotała, pozwalając sobie na łzy. Nie obchodziło ją, czy ktoś to zobaczy. I tak prasa najdalej za godzinę dowie się o wszystkim i zacznie się jazda bez trzymanki. Jak ona to wszystko zniesie, bez Zbyszka?

„Nie ujadaj, mała, a pójdą sobie precz, bo szybko się znudzą” – to była jego złota rada. Powtarzał ją ostatnio po kilka razy dziennie. Nawet Bartosz wykuł ją na pamięć i cytował, gdy Laurę trafiał szlag, a zważywszy na rząd, szlag ostatnio trafiał ją często.

No to nie będzie ujadać i tym razem – postanowiła, dławiąc się łzami. Połykała je pośpiesznie. Zajadała słoną rozpacz ściekającą po twarzy.

– Do diabła z tobą, Zbychu! – wydarła się nagle.

Nikogo to nie obeszło. Tylko bury kot zatrzymał się przy monopolowym i zanim skrył się za rogiem budynku, obejrzał się na nią, po czym zniknął.

Z samochodu wysiadł Bartosz. Zbliżał się do niej.

ROZDZIAŁ 2

Sierpień, przed wypadkiem

Brak wszechogarniającej czerni był zdumiewający. Podnosił na duchu, łagodził emocje, wygładzał rysy twarzy, rozluźniając mięśnie zaciśniętych szczęk. Zrobiło się lżej. Zbiorowy wydech ludzkiej masy, zebranej na Krakowskim Przedmieściu, jeszcze długo dudnił w uszach. Jak to się mogło stać? Owszem, jest lżej, ale chyba nie o to w tym wszystkim chodziło?

Bianka zbudziła się zlnana potem. Zdarzało się to coraz częściej. Farmazoni – powtarzała sobie, gdy nocne poty dopiero zaczynały ją nękać. Nie w tym wieku! – nakazywała sobie, dodając wyraźnie wymawiane na głos wulgaryzmy. Idąc do łazienki, zerknęła mimochodem na krzesło przy kuchennym stole. Zawróciła gwałtownie i tak samo zapalczywie zgarnęła z mebla koronkowy kusy szlafrok i pas do pończoch. Czerwone. Czerwień

oficjalnie nie należała do jej ulubionych kolorów. Czerwień oficjalnie nie należała do kolorów, które tolerowała także u innych.

– Bezpardonowe, łase na spojrzenia, aroganckie wdzianko – oznajmiła ze spokojem pewnego razu asystentce zarządu, gdy ta weszła na spotkanie z cappuccino w porcelanowych filiżankach.

Asystentka odstawiła tacę z kawą i spuściła wzrok. Wiedziała, że zrobiła coś nie tak, choć niewiele rozumiała.

– Daj jej spokój – odezwał się prezes, poprawiając się w fotelu, co nie uszło uwadze Bianki.

Uniosła kąciki ust, a razem z nimi również jedną brew. Gdy tak robiła, uwypuklały się kości policzkowe, co było bardzo seksowne i najwyraźniej działało również na jej brata, bo Borys zamiast wlepić ślepią w wyzywającą czerwień bluzki asystentki, gapił się teraz na Biankę.

– Braciszku, czerwień – odezwała się Bianka i przeniosła spojrzenie na asystentkę, której policzki płonęły nie mniej niż jej bluzka – czyni z nas poddane.

– Tak, proszę pani – odezwała się asystentka, wciąż gapiąc się w podłogę.

– Podziwiasz buty? – zagaiła Bianka, przenosząc wzrok w tym samym kierunku i aż gwizdnęła z uznaniem. – A za nie akurat masz plusa. No dobrze, zmykaj, zmykaj.

To było kilka dni temu. Dziś czekała ją zupełnie inna rzeczywistość.

– Nie pierdol, stara – powiedziała do swojego odbicia w lustrze na widok spoconych, krótko przystrzyżonych włosów w kolorze siwego blond. – Nie czas na hormonalną woltyżerkę.

Po prysznicu, ubrana w białą koszulę i czarne spodnie na szelkach, spakowała torebkę. Przygotowana czarna marynarka wisiała na krześle w przedpokoju. Jeszcze parasol. Bianka zastanowiła się, gdzie go włożyła ostatnio. Bez czarnej parasolki na pewno nie wyjdzie z domu!

Pierwszy raz tego dnia rozłożyła ją w windzie biurowca. Weszła do środka, wcisnęła przycisk z numerem 33 i przymknęła powieki. Gdy winda już miała miękko powędrować w górę, znów zaczęła się otwierać. Bianka westchnęła i otworzyła oczy. W poszerzającej się szparze w drzwiach kabiny ujrzała męską dłoń jakiegoś intruza. Nie zastanawiając się ani chwili, rozłożyła parasolkę tak, że nie miał jak wejść. Szybko wcisnęła przycisk zamykania i z szerokim uśmiechem na schowanej za parasolką twarzy odetchnęła z ulgą.

– Nie masz nic innego do roboty? – Pięć minut później Borys wparował do jej gabinetu, potykając się na progu. – Ja pierdolę, co się z tobą dzieje? Przecież nie pada, kurwa mać! Po co ci ten parasol? – Poprawił

krawat, choć powinien był raczej schylić się, by wyprostować podciągniętą nogawkę odsłaniającą nudne grafitowe skarpety.

– Teraz nosi się takie kolorowe, z Pałacem Kultury – odparowała Bianka, siadając wygodnie w swoim ulubionym fotelu. Gdy go zamówiła na koszt firmy, rzecz jasna, współpracownicy z przejściem robili zakłady, czy wydawanie TAKIEJ kwoty na fotel w biurze wiceprezes odbije się jej czkawką. Czkawkę zauważono, ale u Borysa, gdy zobaczył fakturę za fotel. – Nie pada, powiadasz... Dopiero zacznie. O siedemnastej zapowiadane są burze z piorunami, nie słyszałeś?

Już otworzył usta, by wyrazić swój gniew, jednak rozmyślił się i zamknął je z powrotem, co zdarzyło mu się po raz pierwszy, odkąd pamiętała. Odetchnął tylko głęboko i warknął, nieco ostrzej, niż planował:

– Ładnie dziś wyglądasz.

Bianka zamarła. Dopiero gdy opuścił jej pokój, odsunęła fotel na kółkach i szybkim krokiem podeszła do drzwi. Wychyliła się i krzyknęła za oddalającym się, zadowolonym z siebie i swojej inwestycji w mindfulness prezesem:

– Jeszcze rok medytacji i zapewne usłyszę też, że jestem świetna w pracy!

Drugi raz rozłożyła parasol na Krakowskim Przedmieściu tuż przed siedemnastą. Nie była bynajmniej

jedyną osobą, która skorzystała ze słonecznej pogody, by rozłożyć parasolkę. Stała pod swoją, krzycząc: „Kobieta ma prawo decydować o sobie!”. Zajęła miejsce tuż przy Bristolu. Weszła na niewielki murek, rozkładając ciężar ciała na dwóch punktach podporu: na piętach i pod palcami. Buty na płaskiej podeszwie, jakie zazwyczaj nosiła, pomagały w tym procesie uziemienia, do którego się odwoływała codziennie po pracy. Ten rytuał bardzo działał na jej wyobraźnię. Pojawiała się wówczas wizja jej samej okutanej korzeniami prastarego drzewa – matki. Czuła ciepło ziemi, która otulała ją w matczynym barłogu.

– Ma-my prawo de-cy-dować! Ma-my prawo de-cy-dować! – Głos miała pewny, dźwięczny, z zalotną chrypką, nazywaną przez większość facetów seksowną. Przerwała na moment, gdyż kątem oka spostrzegła kobietę, która nieudolnie próbowała wgramolić się na ten sam murek. Z racji trzymanej wielkiej torby w jednej dłoni i transparentu w drugiej.

– Jeszcze chwila, a zaryjesz twarzą o beton – powiedziała Bianka, wyciągając rękę do tamtej, choć nie bardzo życzyła sobie aż tak bliskiego towarzystwa. – A tak w ogóle to jesteś pewna, że chcesz zająć to miejsce? Nie wolisz stać na pewnym gruncie? Ta zonglerka kłamotami też nie za bardzo ci wychodzi – dokończyła, próbując bez przekonania wciągnąć ją na murek.

– O masz, a mówił mi, bym się na zonglerkę zapisała. – Kobieta parsknęła śmiechem, choć zabrzmiało to bardziej rozpaczliwie.

– Kto? – Bianka wyraźnie się zainteresowała, a gdy usłyszała w odpowiedzi „mąż”, momentalnie przyłożyła się do zadania i zebrawszy się w sobie, mocno pociągnęła kobietę do siebie. Gdy ta bezpiecznie wylądowała na murku, nie robiąc sobie ani nikomu innemu krzywdy, Bianka zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

– Niech zgadnę, za dużo chciałaś od życia, za wiele miałaś marzeń?

– Aha – przytaknęła rozmówczyni tak ochotczo oraz z iskrą nadziei w głosie, że Bianka poczuła się nieswojo. Jej granica przestrzeni osobistej została właśnie przekroczona najzwyczajszym słowem składającym się z trzech liter.

– Bianka. – Wyjęła kobiecie z rąk transparent i uściśnęła jej dłoń.

– Polka – powiedziała ta z ulgą w głosie. – W sensie nie chodzi o narodowość, tylko imię: Apolonia. No narodowość też... Aj, za dużo gadam. – Pola zerknęła na nią przepaszająco.

– Zauważyłam – stwierdziła Bianka i zerknęła na transparent, zanim oddała go kobiecie. Wysprejowane czerwone litery na czarnej tekturze składały się w: „Moja cipka, moja cipka, moja bardzo wielka cipka”. –

Grubo! – Gwizdnęła z uznaniem, po czym odwróciła się w stronę tłumu i krzyknęła: – Ma-my prawo de-cy-dować! – A potem spojrzała znów na Polę. – Nasze życie jest takim, jakim uczyniły je nasze myśli – powiedziała na wydechu, dodając po chwili. – To Marek Aureliusz, jakby co.

– Ja wiem, czyj to cytat. – Twarz Poli pokryła się purpurą.

– A ten to czyj? – Bianka wskazała na transparent.

– No bynajmniej nie męża – wymamrotała Pola. Stała teraz dumnie wyprężona i wysoko podnosiła transparent.

– Weź mnie nie szuraj – dobiegł głos z dołu.

Spojrzały w tamtym kierunku – na dziewczynę z rudymi włosami, która zatrzymała się dokładnie pod nimi i właśnie uchylała się przed torbą Poli, co rusz dotykając jej głowy. Ruda mała – pomyślały obie, choć oczywiście żadna nie wypowiedziała tego na głos. Jeszcze nie.

– Musiałaś się rozgościć akurat w tym miejscu? Metr dalej nikt by cię nie szurał – rzuciła Bianka, rozglądając się dookoła. Stały tu z Polą same, a pod murkiem, owszem, przycupnęło kilka kobiet, ale wciąż pozostawało sporo wolnej przestrzeni.

– Nie mogłam. Poczułam zew i solidarność z cipką – odparła Ruda, rozpakowując kanapkę z salami.

– Jesz mięso – skwitowała Bianka, krzywiąc się.
– A ty udajesz faceta – odparła Ruda, mlaskając.
– Młazdziesz – wtrąciła Pola, czując, że powinna całym swoim jestestwem wziąć w obronę nowo poznaną Biankę.

– I czasem też pierdzę – skwitowała Ruda, zamykając temat, bo w tym momencie wszystkie trzy zamilkły.

Tłum wokół nich gęstniał. Ludzie wychodzili z domów, przyjeżdżali z innych miast, żeby tutaj, w samym centrum stolicy, wykrzyczeć to, o czym powinno się szeptać z namaszczeniem. Transparent Polki był dobrym przykładem na to, jak miliony kobiet zostały pozbawione intymności jednym słowem, jedną ustawą. Ludzi było coraz więcej, zalewali Krakowskie Przedmieście czarną falą. Szły kobiety, a wraz nimi ich partnerzy, mężowie, synowie, trzymali je za ręce, obejmowali. Wszyscy mieli w oczach gniew lub poczucie bezsilności – jedno i drugie działało na nich z taką samą siłą. Byli tu dziś w słusznej sprawie.

– Zobacz, jaka zamyślona – Pola szepnęła Biance prosto w ucho, wskazując na Rudą Małą.

Bianka skrzywiła się, czując dotyk ust. Jej system obronny w takich sytuacjach działał natychmiastowo – miała w zwyczaju od razu kopać po jajach albo uciekać. W zaistniałej sytuacji nie było mowy ani o jednym, ani o drugim. Zamiast jednak popatrzeć na Rudą, zerknęła

na Połę i znów się skrzywiła, tym razem na widok różu wylewającego się spod jej rozpiętego płaszczka. W zestawieniu z końskim blond ogonem, spiętym na samym czubku głowy różową kokardką, wyglądał, delikatnie mówiąc, niestrawnie. Bianka westchnęła.

– No, ja też tak myślę – powiedziała Ruda dość głośno. – Ten róż i ta kokardka to jakoś tak nie za bardzo.

– Lubię róż – odezwała się Pola spokojnie, chwyciła koński ogon w dłoń i przeczesała palcami. A po chwili, widząc niedowierzanie w oczach rozmówczyń, odchyliła poły dżinsowego płaszcza, odsłaniając różowy fartuszek cukierkowej pani domu – taki bowiem napis znajdował się centralnie na jej biuście. Dół fartuszka był obsyty falbankami, które przyprawiły Biankę o mdłości.

– Ra-tuj-my kobiety! Ra-tuj-my kobiety! – skandował właśnie tłum.

– Gdzie wasi faceci? – Ruda mała podniosła się z kuczek, przydeptując końcówkę długiego szala w kolorowe ważki.

– Faceci? – prychnęła Bianka.

– Mój misiaczek mnie podrzucił i po mnie przyjedzie, chyba że będzie za późno, to zamówię sobie taksóweczkę – wyrecytowała Polka.

A jeszcze chwilę temu Biance zdawało się, że znajdą wspólny język.

– Aha, wszystko jasne – odrzekła Ruda i dodała: – Kaja jestem.

– Polka – zaszczębiotała różowa landrynka, podskakując w miejscu jak mała dziewczynka. – A to Bianka. – Szturchnęła Biankę, która o mało nie straciła równowagi i nie spadła z murka.

Bianka zacisnęła usta. Nie znosiła takich dorosłych księżniczek, które nigdy nie wyrosły z rózu i zdrabniały wszystkie słowa. Misiaczki, taksóweczki, pieniążki niewyobrażalnie działały jej na nerwy. Zalegały jej się w głowie, niczym zdradziecka melodyjka grana w radiu przez całe lato, której nie da się słuchać, a mimo to nuci się ją nawet przez sen. Księżniczki – sarknęła w myślach. Dorosłe kobiety na utrzymaniu męża, którego tak naprawdę mało obchodzą, o ile gotują, szorują, piorą mu skarpetki, zajmują się dziećmi, by te nie przeszkadzały ojcu, ładnie wyglądają i zachowują się tak, jakby tylko leżały całymi dniami i pachniały.

Starła się nie patrzeć w stronę Poli, Kaja zresztą też ją wkurzała. Miała spędzić ten wieczór samotnie w tłumie, jak zawsze. A tu taka niespodzianka. Była pewna, że każda z tych tysięcy Polek rozzłoszczonych absurdem, który już przestał śmieszyć, idzie w swojej własnej samotności. To nie był początek, ale też nie koniec rwącego potoku, a już opadała z sił, wiedząc, że pokojowe protesty na niewiele się zdają. Gdzieś w oddali zawyły

syreny radiowozu. Najpierw zniweczyli Trybunał Konstytucyjny, potem szybko i bez zająknięcia wydali wyrok zaostrzający prawo aborcyjne. Na jego mocy orzeczono, że przepis ustawy antyaborcyjnej z 1993 roku, zezwalający na aborcję w przypadku ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu, jest niekonstytucyjny.

Zerknęła spod lekko przymrużonych oczu na Polkę skandującą z całych sił coś o swojej macicy i do niej dołączyła. Chciała w ten sposób zagłuszyć złe samopoczucie, rozdrażnienie, jakie wywołał w niej nie tyle tłum, bo na to była przygotowana, ile bliskość obcych kobiet, które wtargnęły w jej świat i zamiast ostrożnie zapukać do drzwi i spytać, czy można, wdarły się z buciorami.

Mogła zejść z murka, przejść kilka metrów dalej. Mogła iść na spacer, do kina, na wódkę albo po prostu wrócić do domu czy biura. Miała dużo możliwości i tylko od niej zależało, co wybierze, nie zrobiła jednak nic. Została na swoim murku, dusząc się od natłoku szczebioczących między sobą lub skandujących w jakiejś babskiej czarodziejskiej solidarności kobiet. Ruda była z nich najgłośniejsza, lecz o dziwo, to akurat działało na nią kojąco. Jej chrypa, purpurowe policzki na bladej twarzy, wielkie niebieskie oczy pełne zadziwienia otaczającą je rzeczywistością – wszystko to spowolniało bicie serca, uspokajało oddech.

Bianka przymknęła oczy i otworzyła je dopiero, gdy zorientowała się, że razem z Rudą nuci piosenkę zespołu Queen. Tego się nie spodziewała. Tupnęła nogą i rozłożyła szeroko ręce, strącając z murka Polkę i waląc Kaję w nos, po czym oznajmiła:

– Przestrzeń osobista!

Dziewczyny się roześmiały, choć jedna pocierała nos, a druga obolałą kostkę. Kiedy Polka się wyprostowała, transparent z cipką w roli głównej przez moment wyglądał niczym żagiel, a wielka torba uderzyła Biankę w głowę.

– A dajcie mi święty spokój! – zawołała Bianka i zaczęła się chichrać, choć wcale tego nie chciała. To miało być poważne zgromadzenie: walka o prawa kobiet, macicę, życie, decyzje, wolność, czyli o fundamenty. O ich kobiecie być albo nie być. Choć każda w tłumie na Krakowskim Przedmieściu doskonale wiedziała, że w kobietach siła, żadna z nich wcale nie pragnęła po raz enty musieć tego udowodniać. Marsz żałobny byłby lepszym repertuarem na dziś, pomyślała Bianka i nagle straciła ochotę, by tu być. Chciała stąd odejść, jak najdalej od skandujących kobiet, od Poli, której Kaja pomogła wejść z powrotem na murek, i płomiennych włosów Kai. Po prostu odwrócić się i odejść.

„Nie uciekaj!” – Ochryply bełkoczący męski głos zadźwięczał jej w uszach i momentalnie przenosiła się

do dzieciństwa. Widziała siebie, biegnącą w brudnej, podartej sukience. Patrzyła na wijącą się za nią wstążkę wczepioną niedbale w cienki warkocz. Widziała też zataczającego się mężczyznę, który podtrzymywał się framugi stodoły i spluwał nadmiar śliny, pojawiającej się w ustach zawsze, gdy wypowiadał po pijaku swoją znaną wszystkim śpiewkę: „Nie uciekaj, bo i tak cię złapię, wypatroszę i usmażę!”. Ale tego już nie słyszała, nie tym razem, bo była za daleko. Zawsze chowała się w brzozowym zagajniku, przy małym suchym drzewie z białym pniem, bez korony. Pień na wysokości dorosłego mężczyzny nagle się załamywał, dumnie prezentując ostre zakończenie – to był jej anioł brzozowy. Tulila się do niego długo, aż zaczynało zmierzchać i rozlegało się klaskanie. To był znak, że może wracać do domu. Po powrocie wchodziła do sypialni rodziców, patrzyła na chrapiącego mężczyznę, przed którym wcześniej uciekła, i szeptała: „To ja cię wypatroszę i usmażę, tatusiu”. A potem szła do pokoju, który dzieliła z młodszym o dwa lata bratem, i kładła się spać, zakrywając się z głową grubym wełnianym kocem. Nie od razu się zorientowała, gdy brat zaczął na nią mówić „żółw”. Gdy śmiali się z matką przy śniadaniu, była pewna, że chodzi o jej codzienne zwlekanie ze wstawaniem z łóżka. Wyczekiwała pod kocem, aż usłyszy dobiegające zza okna znajome skrzypnięcie furtki i odgłos kopniętego

przydrożnego kamyczka. To był znak, że ojciec opuścił dom i zmierza do pracy, do warsztatu, który spadł na niego w postaci spadku jak grom z jasnego nieba. Tamten dzień pamiętali wszyscy sąsiedzi w okolicy, nawet Bianka z bratem, nasłuchawszy się tej opowieści, byli przekonani, że widzieli to zdarzenie na własne oczy, choć miało miejsce, zanim przyszedli na świat. A może Bianka rzeczywiście to widziała, ukryta w grubym brzuchu swojej matki? W każdym razie tamten dzień był pogodny, pierwszy taki od wielu tygodni, w których lało niemiłosiernie. Mieszkańcy wsi mazowieckiej patrzyli w niebo, wdzięczni za deszcz, ale też za to, że wreszcie się skończył i dał im odetchnąć. Już zaczęli się czuć jak w porze deszczowej w jednym z afrykańskich państw, tylko krajobraz za oknem nie za bardzo się zgadzał. Ojciec Bianki, wtedy młody „choleryk” – jak go ochrzcili miejscowi – wyszedł z chałupy, by ogarnąć wzrokiem pole ojca. Tylko tak miał w zwyczaju cokolwiek ogarniać. Podrapał się po głowie, rzucił pod nos „Szlag by to!” i „A nie będę ja ręk brudził tą zasraną ziemią”. Z sąsiednich domów wyszli gospodarze, by zająć się planowaniem prac. Podwijając rękawy i chwytając łopaty, zerkali na młodego Ilienka, męża Danusi, pięknej lalki o porcelanowej urodzie. Pamiętali, jak na pogrzebie własnego ojca zarzekał się, że weźmie się za gospodarstwo i zrobi wszystko, co w jego mocy, by „ziemia przodków odrodziła się za jego

kadencji”. Używając tych słów w uroczystej przysiędze, sprawiał wrażenie nieudolnego polityka, jakich ten kraj znał nad wyraz dobrze. Sąsiedzi pokiwali głowami, jedni z politowaniem, inni z przestachem. Niektórzy zacierali ręce, wiedząc, że szanse na odkupienie ziemi od Ilienki zaczynają rosnać.

„Ignacy, słowa mają moc – powiedział wtedy jego dziadek, zamykając trumnę ze swoim synem, ojcem Ignasia. – Nie wypowiadaj ich nadaremno”.

Po śmierci ojca, Ignacy Ilienko nie wychodził na pole, lecz na wódkę. Najpierw uznano ten stan za właściwy żałobie. Potem za właściwy „tego pokroju” mężczyznom. Wreszcie nadeszła pora deszczowa i Ignacy zamknął się w domu, a raczej w sypialni ze swoją Danusią, której wielce zaokrąglony brzuch podziałał na niego jak uziemienie. To był ich prawdziwy miesiąc miodowy. Pełny wzlotów, pysznego seksu i obietnic bez pokrycia. Aby zagłuszyć swoje sumienie, wyobraził sobie, że deszcz padający przez tyle dni wymył te wszystkie obietnice ze świadomości Danusi. No przecież podczas seksu mówi się różne rzeczy, uspokajał siebie. A kiedy pierwszego pogodnego dnia Ignacy wyszedł na pole, usłyszał krzyk Danusi. Ocknął się z głębokiej zadumy i w mig skoczył do domu, a tam blada jak ściana żona gapiała się w okno na drogę, na której leżał dziadek z szablą w sercu.

Tak właśnie świat przyjął do wiadomości, że Ignasz nie ma zamiaru brudzić rąk i załatwił mu posadkę właściciela zakładu odlewnictwa, który jeszcze do niedawna należał do dziadka. Wnuczek miał tam wstęp wzbroniony, choć oczywiście nieraz zakradał się i podziwiał prasy, maszyny, formy i cynę, a także... szablę ułańską wiszącą w najbardziej widocznym miejscu na ścianie. Gdy pytał o nią dziadka, ten odpowiadał zawsze to samo: „Jak dorośniesz, opowiem ci swoją historię”. Nawet gdy wnuczek dobiegał już trzydziestki i spodziewał się dziecka.

Milicja bardzo szybko umorzyła śledztwo dotyczące zgonu. Uznano, że brak odcisków palców na szabli świadczy o spektakularnym, albo i nie, samobójstwie. Dlaczego na drodze do domu wnuka? Dlaczego akurat tego dnia, gdy jasne niebo cieszyło i napawało nadzieją na lepsze jutro? Dlaczego, po co, jak? Pytania się mnożyły, ale Ignacy nie zamierzał zaprzętać sobie nimi głowy. Rzucił się w wir pracy w już swoim warsztacie, zamykał się tam na całe dnie, a gdy wychodził po zmierzchu, mieszkańcy wsi na niego czekali. „Ty nic przecież nie potrafisz!” „Nierobie ty, zrujnujesz dzieło życia swojego dziadka!” „Weź sprzedaj ten warsztat, póki nie jest za późno!” Złote rady sypały się jak asy z rękawów. Ignasz jednak miał to wszystko gdzieś. Po raz pierwszy w życiu coś się dla niego liczyło. Szablę, którą milicja mu zwró-

ciła, powiesił na swoje miejsce, przejrzał karty klientów i spis wszystkich zrealizowanych zamówień. Zauważył, że na jesień jest ich zdecydowanie więcej i przypomniał sobie, że rzeczywiście od września do stycznia dziadek prawie nie wychodził z pracowni. Czasami przyjmował majstrów z sąsiedniej wsi, którzy tylko czekali na jego zawołanie. Teraz Ignacy już wiedział, że czas ten był poświęcony na Barbórkę i odlewanie kufla z motywami łowieckimi. Zamówienia spływały, a on wiedział, jak się do nich odpowiednio przygotować, bo często podglądał dziadka w pracy. Po raz pierwszy czuł, że żyje. Poczuli to też Danusia, a także nowo narodzona Bianka, i nawet mały Borysek, który pojawił się dwa lata później. Gdyby życie było bajką, w tym miejscu można by było spokojnie dodać: „i żyli długo i szczęśliwie”. Ignacy jednak, im większy odczuwał spokój i zadowolenie z życia, tym częściej dopuszczał do siebie myśl, że ktoś mu coś odbierze. Postanowił działać, żeby zdążyć na czas. Wstawał w nocy, szedł do warsztatu, sprawdzał, czy nikt i nic mu nie zagraża. Mijając pijanego Zenka na rozklekotanym rowerze, wracającego z popijawy od Zbycha, stwierdził, że chce podpalić jego warsztat, ponieważ wyczuł od niego zapach benzyny. Paranoja rozwijała się z dnia na dzień, a jedyną od niej ucieczką było pijaństwo.

„Żółwik przyszedł” – powiedziała łagodnie matka, gdy mała Bianka weszła do kuchni. Była uczesana, umyta,

ubrana. Miała też spakowany plecak, pomimo wakacji. Nawet lubiła, gdy tak do niej mówiono.

„Wiesz, dlaczego żółw?” – spytał Borys trzydzieści lat później. Stali wtedy w sali konferencyjnej w ich biurze i patrzyli na panoramę Warszawy. Bianka przed chwilą kategorycznie sprzeciwiła się podpisaniu nowego kontraktu z chińskim producentem odzieży, na który Borys bardzo liczył. „Bo ciągle się boisz i chowasz się za pancerzem. Przed ojcem, przed wspomnieniami, przed nowym, przed ludźmi. Cały czas się boisz. Jesteś tchórzem”. Wyszedł, nie czekając na jej reakcję. Została sama w pustym, sterylnym pomieszczeniu, tuż przy wielkim oknie. Wieżowiec przed nią wyświetlał wielki napis: „Kocham cię, Warszawo”.

Od tamtej pory nauczyła się dumnie nosić swoją skorupę. Zrozumiała, że skoro ją ma, to zapewne po coś. Powodów było tak naprawdę sporo. Nikt o nich nie wiedział. Nawet Borys, zwłaszcza on. Zresztą Bianka również próbowała ich nie dostrzegać. Gdy się czegoś nie widzi, znika, czyż nie? Można od tego uciec.

– Nie uciekaj!

Nie wiedziała, która z dziewczyn wołała za nią, gdy zeskoczyła z murka i pędem ruszyła przed siebie, wymachując rozłożoną parasolką.

– Nie uciekaj! – Słowa płynące z megafonu dudniły jej w uszach. Czyżby się przesłyszała? A może zwario-

wała? Wszystko jedno. – Nie uciekaj, walcz o swoje, działaj, tylko w ten sposób uratujesz siebie.

Znała ten głos, z telewizji. Należał do nowej kobiety w polityce, która udaje, że jej zależy. Nawet gdyby faktycznie zależało, to szybko jej przejdzie. Przyjmie premię nie do udźwignięcia w modnej torebce, odjedzie wypasioną bryką i na kolejnym proteście zejdzie ze sceny, zgubi megafon, a potem, gdy w sejmie będzie głosowanie nad ustawą traktującą kobiety jak w średniowieczu, nagle zachoruje na zapalenie spojówek i przy jej nazwisku – Laura Wilska – będzie widniało „za” lub, w najlepszym wypadku, „wstrzymał się od głosu”.

Bianka poczuła metaliczny smak w ustach. Musiała zagryzać wargi. Dawno tego nie robiła. Dotarła do swojego szarego mini countrymana, wsiadła i ruszyła. Radio włączyło się automatycznie.

– Nie, no oczywiście, że tego nie zrobię. Miałbym pójść siedzieć? – Zdziwiony męski głos należał do jednego z ordynatorów kliniki położniczej w Warszawie. Bianka go rozpoznała. Chciała przełączyć stację, lecz zamiast tego ścisnęła mocniej dłonie na kierownicy. – Co pani by zrobiła na miejscu lekarza, dla którego terminacja płodu, który z całą pewnością umrze w męczarniach kilka godzin lub dni po urodzeniu, podkreślam, w męczarniach, równa się wizycie w więzieniu na czas bliżej nieokreślony?

– Kurwa mać – zakłęła pod nosem Bianka. Chciała powiedzieć więcej. W zasadzie wykrzyzczyć. Tylko po co? Kto jej posłucha?

– Zapytaliśmy doradcy prezydenta o to, dlaczego odbiera się kobietom prawa decydowania o swoim ciele – powiedziała spikerka. – Oto, co odpowiedział.

„Kiedy w macicy znajduje się mieszany materiał genetyczny, kobieta przestaje być właścicielem swojej macicy.”

Spokój, opanowanie, pewność siebie w głosie tego człowieka budziły w niej grozę. Lubisz horrory, *welcome to Poland*. Gdy po chwili usłyszała zniekształcone komputerowo ostatnie słowo urzędnika, wybuchła płaczem.

„Macicy, ma-ci-cy, maaaaacccciiiiicyyyyyyy” – brzmiał niski tubalny głos.